

KRÓLESTWA
OKRITH
TOM 3

KORONA PRZEZNACZENIA

A.K. MULFORD

beyA.

Tytuł oryginału: The Rogue Crown (The Five Crowns of Okrith #3)

Tłumaczenie: Olga Kwiecień

ISBN: 978-83-8322-846-4

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą
Shutterstock Images LLC.

Copyright © 2022 by A.K. Mulford. By arrangement with the author.
All rights reserved.

Excerpt from *The Evergreen Heir* © A.K. Mulford 2022

Harper Voyager and design are trademarks of HarperCollins Publishers LLC.

Map © Kristen Timofeev

Polish edition copyright © 2025 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted
in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying,
recording or by any information storage retrieval system, without permission
from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości
lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione.
Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie
książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie
praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi
bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych
postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń
losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/korko3>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1



Briata Catullus. — Starszawy fae splunął na ziemię. — Przyjechałaś przechwycić koronę, gdy cały pałac pograżony jest w żałobie? Nie powinno cię tu być.

To proroctwo, powtarzane przez ignorantów od dnia jej narodzin, nie przestawało jej prześladować. Na przedzie wozu siedziało dwóch fae, najwyraźniej ojciec i syn: starszy miał pobrużdżoną zmarszczkami twarz i siwe włosy, jednak obydwaj mieli takie same wąskie nosy i cienkie wargi, skrzywione teraz pogardliwie. Patrzyli na nią rozszerzonymi oczami i Bri wiedziała, że ze swoją złotobrązową skórą, kasztanowymi włosami i orlimi oczami nie mogła ukryć swej tożsamości. Była jedną z Bliźniąt Orłów — bardziej mitem niż żywym człowiekiem.

— Znacie proroctwo na mój temat, ale najwyraźniej nie wiecie nic więcej — powiedziała, uśmiechając się do nich krzywo, i otrzepała tunikę z kurzu. — Nie słucham rozkazów. — Bri zmrużyła oczy, dostrzegłszy trzeciego fae, który wychylił głowę z tyłu wozu. — Sama kapitan straży poprosiła o moje przybycie i jestem pewna, że jej autorytet przewyższa wasz.

— Kapitan najwyraźniej postradała rozum, skoro zaprosiła kogoś z rodu Catullus na swój dwór — zakpił siwowłosy fae. — Słyszałem, że została nieźle posiekana podczas ataku. Zapewne nie dożyje twojego przybycia.

Nagłący głos Deltę nadal rozbrzmiewał w uszach Bri. Musiała jechać dalej. Puściła wodze i jej dłoń powędrowała do ulubionego sztyletu, który nosiła zawieszony przy biodrze.

— Nie jesteś mile widziana na Zachodzie — prychnął syn.

Przy pasie miał nóż, jego ojciec pojedynczy sztylet. Wydawali się jakiegoś rodzaju kupcami, raczej nienawykłymi do walki, jednak fae byli szybsi i silniejsi niż ludzie lub czarodzieje, jak również bardziej od nich uparci. Przesunęła dłonie z powrotem na wodze — nie będzie potrzebowała sztyletu, żeby poradzić sobie z tą trójką.

— Przetawicie ten wóz czy nie?

Z zaciętym wyrazem twarzy spojrzała na wąską dróżkę wciśniętą między piętrzące się po obu stronach białe skały. Wóz stał dokładnie pośrodku wąskiego przesmyku i Bri nie sądziła, żeby była w stanie poprowadzić konia obok przez strome wzniesienie. Jeśli nie ustąpią, będzie musiała się wycofać i poczekać, aż odjadą. Poprowadziła swojego konia na pobocze i zatrzymała się w wysokich trawach. Miała nadzieję, że węże, które mogły się wygrzewać na rozgrzanych słońcem kamieniach, uciekły. Ostatnie, czego potrzebowała, to wierzgającego ze strachu konia.

— Jak już powiedział mój ojciec, nie jesteś mile widziana w Swifhill — syknął syn. Zuchwałość w jego spojrzeniu sprawiła, że Bri zaśmiała się pod nosem.

— Co z was za marudy — burknęła, zsiadając z konia jednym płynnym ruchem. Zatoczyła barkami koło, po czym chwyciła za uzdę klacz zaprzęzoną do wozu i poprowadziła ją naprzód. Cmoknęła językiem.

— No dalej, idziemy.

— Stój! — wrzasnął ojciec, ciągnąc za lejce.

Syn zeskoczył z kozła i Bri uśmiechnęła się, licząc na to, że będzie dość nieostrożny, żeby ją zaatakować.

— Cholera — warknął trzeci mężczyzna, zeskakując z wozu, i ruszył na pomoc przyjacielowi. Ojciec zaklął pod nosem i niechętnie również do nich dołączył.

O co chodziło z facetami i bijatyką na pięści? Każda karczemna sprzeczka kończyła się w ten sposób — jeden kretyn podjudzający drugiego, aż dochodziło do chaotycznej bójki wszystkich dookoła.

— Chętnie zrobiłabym wam tę przyjemność — rzuciła Bri z uśmiechem, gdy pierwszy z fae zaczął się do niej zbliżać — ale nie dziś.

Przez ostatnie dwa dni podróży nie miała szansy potrenować. W zwyczajnych okolicznościach pozwoliłaby mu na kilka ciosów i poprawiła jego błędy, nawet sprawiając mu łomot, jednak nie teraz. Musiała jak najszybciej dotrzeć do pałacu i ustalić, jak wygląda sytuacja po ataku.

Królowa Zachodniego Dworu nie żyła. Tylko tyle wiedziała na pewno. Delta wezwała ją przez ogień fae, rozpaczliwie błagając o pomoc. Bri i tak znajdowała się w pobliżu granicy Zachodniego Dworu, w Valtene, po walce z niebieskimi czarownicami opętanymi przez Balorna. Nadal czuła w mięśniach ból po tej bitwie, jednak nie zwlekając, ruszyła w stronę zachodniej stolicy.

Najmłodszy fae zamachnął się dziko, lecz Bri z łatwością odsunęła się, unikając jego ciosu. Czekala, aż jego własny rozpęd pozbawi go równowagi, po czym szybko zrobiła krok w jego stronę i wymierzyła cios. Jej pięść trafiła go w szczękę. Na wszelki wypadek poprawiła jeszcze kolanem i mężczyzna przewrócił się do tyłu w krzaki, z jękiem chwytając się za brzuch. Wiedziała, że nic mu nie będzie, ale rozsądnym z jego strony byłoby pozostanie na ziemi.

Na jej ramieniu wylądowała dłoń kolejnego napastnika. Chwyciła go za nadgarstek i przekręciła instynktownie, do momentu aż zaczął krzyczeć z bólu wywołanego nienaturalną pozycją ręki. Nie wyrwała mu jej ze stawów, ale wiedziała, że przez kilka kolejnych tygodni będzie odczuwał ból podczas poruszania nią. Nie mieli pojęcia, ile lat ona i jej brat bliźniak Talhan poświęcili na udoskonalenie tego ruchu. Podcięła mu nogi i napastnik zwałił się ciężko na żwir. Obłok szarego pyłu podniósł się z ziemi. Bri spojrzała na ojca.

Wyciągnął w jej kierunku sztylet, patrząc szeroko otwartymi oczami na to, z jaką prędkością rozprawiła się z jego towarzyszami.

— Nie chcę cię skrzywdzić — zapewniła, spoglądając na obezwładnionych napastników, z których jeden leżał, zwijając się z bólu i trzymając za ramię, a drugi jęczał w krzakach. Wbiła wzrok w starszego fae i jego sztylet, po czym groźnym głosem dodała: — A teraz możesz albo przestawić wóz, albo mogę to zrobić za ciebie, co wybierasz?

Przelknął ślinę i drżącymi rękami schował sztylet. Dwóch rannych mężczyzn, wyleczonych z brawury, wstało i pomknęło z powrotem do wozu.

Bri skinęła głową.

— Dobrze.

Wsiadła na konia, który pospiesznie ogryzał krzew. Może lepiej będzie ukraść wierzchowca w kolejnym miasteczku niż próbować go kupić. Nie chciała wywoływać bójk w każdej mijanej miejscowości. Lasy w deszczowym cieniu Gór Wysokich były zamieszkane głównie przez czarownice i ludzi z Zachodu, którzy nie zwracali na nią większej uwagi, teraz jednak, gdy bory ustąpiły miejsca rozległej sawannie, a ona wyjechała na drogę prowadzącą do Swifthill, natrafiała na więcej miasteczek, zamieszkałych głównie przez fae. Im bardziej zbliżała się do stolicy, tym jej obecność przyciągała większą uwagę.

Znowu przypomniła sobie błagalny głos Deltę. „Potrzebuję twojej pomocy, Bri, proszę”. Mogłaby się założyć o górę złota, że Delta nigdy nie wypowie takich słów. Atak na pałac Zachodniego Dworu musiał być miażdżący. Ilu zdrajcom udało się przeniknąć na dwór królowej Thorne? Bri wiedziała, że będzie musiała na nich uważać.

Gdy wóz wytoczył się z wąskiego gardła, dzięki czemu mogła przejechać, przygotowała się wewnętrznie na to, co miało nastąpić. Dotrze do Deltę, choćby musiała sobie wywalczyć do niej drogę. Zabójców królowej nie odnaleziono, a księżniczka ledwo przetrwała atak. Bri musiała dotrzeć do pałacu, zanim zdrajcy wrócą, by dokończyć to, co zaczęli.



Miała już dosyć tej podróży i pragnęła zmyć z siebie zapach konia. Widok miejsca, w którym się urodziła, wcale jej nie ucieszył. Krajobraz wokół zmienił się z pokrytych jeszcze śniegiem lasów w wysuszone, usłane czerwoną glebą pustkowia porośnięte kolczastymi krzewami. Słońce przygrzewało coraz mocniej, wyganiając zimowy chłód. Bri zdjęła pelerynę i pogoniła zmęczonego konia w stronę wysokich murów z piaskowca, przeklinając siebie za to, że tu przyjechała. Przypomniła sobie jeszcze

raz, kim była dla tych ludzi. Briata Catullus — wróg wygnany z królestwa w pierwszy dzień swojego życia.

Wysoka brama z brązu strzegła głównej drogi prowadzącej do Swifthill. Orlica zajrzała poprzez pręty na rozciągające się za nią miasto. Widziała rozmieszczone w koncentrycznych kręgach dachy przypominające kapelusze grzybów, mniejsze na obrzeżach i coraz większe w miarę zbliżania się do centrum. Za murami miasta, wysoko na klifie, stał pałac.

Brązowy kamienny zamek, z sześcioma strzelistymi wieżami wnoszącymi się wysoko w niebo, zbudowany został na planie sześciokąta. Tylko jedna flaga powiewała na najbliższej wieży, zdobna Zachodnim herbem baraniej czaszki nad skrzyżowanymi toporami. Dach pałacu lśnił odcieniami zieleni — siedem koron drzew, które wisiały niczym chmury nad złotymi dachówkami, wyrastało wprost z budynku. Każdy z pięciu królewskich pałaców Okrith miał swój styl, ale to... Bri poczuła, jak ściska ją w piersi. To miejsce było wyjątkowe.

Za bramę wyszedł strażnik, odciągając jej uwagę od pałacu na wzgórzu. Jego oczy rozszerzyły się, gdy się jej przyjrzał.

— Orlica — warknął, po czym wymamrotał pod nosem przekleństwo.

— Nie powinno cię tu być.

Łajdaczka, gotowa wykraść koronę Królowej Zachodu — tak ją postrzegali.

— Gdybym dostawała monetę za każdym razem, gdy to słyszę... — westchnęła Bri, ocierając czoło spocone w południowym gorącym słońcu. Przybrała wystudiowaną pozę obojętności i zwróciła się do strażnika: — Mylisz się. Delta Thorne poprosiła mnie, żebym tu przyjechała.

Zastanowił się, spoglądając na nią spode łba.

— Kapitan również niemal zginęła tej nocy. Musiała majaczyć z bólu.

Bri odkleiła przepoconą tunikę od piersi i powachlowała się nią.

— Czy wyglądam jakbym jechała do boju?

— Nie jesteś przyzwyczajona do zachodniego słońca, zdrajczyni — zakpił strażnik.

— Z czasem można się przyzwyczać — rozległ się głos za nią.

Podjechał do niej mężczyzna na koniu. Był w średnim wieku i miał bladą skórę, spaloną na czerwono na policzkach i nosie. Szczupły i nie-

prawdopodobnie wysoki siedział wyprostowany na swoim wierzchowcu. Bri dostrzegła jego cynamonową tunikę i w woreczek totemiczny na szyi — czarodziej. Prawdopodobnie brązowy czarodziej, biorąc pod uwagę, że znajdowali się w ich ojcystym dworze.

— Lady Catullus jest tu potrzebna. Prosiłem o jej pomoc — powiedział czarodziej, zwracając się do strażnika. — Wpuść nas, proszę, Lifo. Osobiście odprowadzę ją do zamku.

Strażnik zawahał się, przyglądając się przez chwilę czarodziejowi, po czym na powrót zwrócił się w stronę Bri. Splunął na ziemię, jednak zniknął za murem, żeby otworzyć bramę. Bri uniosła brwi ze zdumienia. Strażnik fae przyjmujący rozkazy czarodzieja? Kimkolwiek był ten czarodziej, musiał być kimś ważnym.

— Dziękuję — burknęła.

Brama z brązu zazgrzytała i uniosła się powoli do góry. Bri patrzyła na jej zębate wykończenie. Nie miała ochoty pod nim przejeżdżać, jednak czarodziej pogonił swojego konia, więc podążyła za nim, z ulgą przyjmując fakt, że brama na nią nie spadła.

Puściła oczko do skrzywionego strażnika i ruszyła główną drogą w stronę serca miasta.

— Doceniam twoją pomoc — powiedziała, zrównując swojego konia z wierzchowcem czarodzieja.

Czarodziej odgarnął blond włosy z czoła i poprawił okulary w złotych ramkach.

— Strażnik nie uświadamia sobie, jak bardzo potrzebna jest twoja obecność — oznajmił, kierując na nią spojrzenie swoich niebieskich jak niebo oczu. — Jestem Cole, główny uzdrowiciel rodziny królewskiej.

Zmrużyła oczy, spoglądając na niego.

— Czarodziej mężczyzna, który ma dostatecznie wielką moc, żeby zostać głównym uzdrowicielem? Jestem pod wrażeniem.

— Myślę, że przekonasz się, iż podziały między nami są mniej ostre, niż wyraża nasz język — odparł Cole, uśmiechając się. — Mówienie, że nie ma potężnych czarodziejów jest tak samo niemądre jak twierdzenie, że nie ma potężnych wojowniczek.

— Chyba cię lubię, Cole — przyznała Bri. — Rozumiem, dlaczego królowa Thorne cię wybrała.

— Obyśmy dostrzegli jej ducha w szumie liści — wyszeptał słowa zachodniej modlitwy, spoglądając na jedno z drzew wyrastających przez dach pałacu. Powiedział to po ificku, we wspólnej mowie, ale wiedziała, że to tłumaczenie z mhenbickiego, języka czarownic.

— Przykro mi z powodu twojej straty. — Bri pochyliła głowę. — Mam pewność, że jesteś wyczerpany po ataku. Ile osób zostało rannych? — Jeśli ktokolwiek mógł wiedzieć, jak poważne były skutki napaści, to właśnie główny uzdrowiciel.

— Jest gorzej, niż rada podała do wiadomości — wymamrotał, spoglądając na ciche ulice. Poprowadził konia w boczną uliczkę, chcąc ominąć ruchliwe targowisko znajdujące się przed nimi.

Bri skierowała swojego konia za nim i stukot końskich kopyt poniósł się po czerwono-brunatnej kostce.

— Ile ofiar?

— Dwanaście — odparł Cole. — I znacznie więcej rannych. — Klepnął dłonią w torby przytroczone do siodła. — Właśnie wracam z gór. Potrzebujemy więcej ziół, niż jesteśmy w stanie wyhodować w naszych ogrodach, nawet z pomocą magii zielonych czarownic. — Jak wielu uzdrowicieli, mówił ciepłym, spokojnym głosem.

Pałac królewski w Zachodnim Dworze zapewne zatrudniał czarownice i czarodziejów we wszystkich kolorach: zielonych, którzy uprawiali ogrody i gotowali pyszne jedzenie, brązowych — sporządzających uzdrawiających eliksiry, czerwonych — potrafiących poruszać magią przedmioty, i niebieskich, którzy Widzieli przyszłość. Fioletowe czarownice ze Wschodniego Dworu już dawno zniknęły... a przynajmniej tak sądziła Bri do niedawna. Wzdrygnęła się, myśląc o fioletowym dymie, który pojawił się na niebie podczas bitwy pod Valtene. Jaką starożytną magię wykorzystał Augustus Norwood, żeby opętać armię czarownic i stworzyć trujący dym? Co gorsza, po bitwie nie udało się go pojąć. Uciekł wraz z pozostałymi przy nim żołnierzami i jego flota wypłynęła na Morze Callipho.

Bri przyjrzała się ulicom, rynnom i głębokim rynsztokom prowadzącym do gigantycznych studzienek. Podobne można było zobaczyć w Południowym Dworze, chociaż Bri nie była pewna, czy tutaj też trafiają się takie monsunowe ulewy. Głębokie rynsztoki świadczyły jednak o tym, że gdy padało, padało naprawdę mocno.

— Jak się ma Delta?

Cole odchrząknął i jego wyraz twarzy stał się bardziej ponury. Bri zacisnęła mocniej wodze, szykując się na złe wieści.

— Mówiłem szczerze, gdy powiedziałem, że jesteś nam tu potrzebna — oznajmił. — Delta potrzebuje pilnego leczenia, ale... sądzę, że czeka na twój przyjazd, żeby pozwolić mi...

Bri usłyszała huk krwi w uszach.

— Żeby pozwolić ci na co?

Opuścił wzrok na swoje dłonie.

— Jej ramię zostało niemal odrąbane w walce. Nie ma w nim czucia... Trzeba je amputować.

— Nie! — wykrzyknęła z niedowierzaniem.

Wiedziała, że Delta będzie zrozpaczona. Jej największą dumę stanowił fakt, że była Kapitanem Gwardii Królowej. Bri gorączkowo zastanawiała się, jak mogłaby złagodzić ten cios. Delta nadal będzie mogła walczyć. Będzie mogła nauczyć się robić to jedną ręką. Wszystko będzie dobrze, wmawiała sobie.

— Nie chce mi pozwolić tego zrobić — powiedział Cole i wyczuwała, że sili się na spokojny ton. — Sądzę, że czeka na ciebie.

Bri popędziła konia, ściskając jego boki łydkami. Przyspieszyli i przemknęli obrzeżami miasta, gdzie ich przejazd widziany był jedynie przez kilku ciekawskich.

— Chcesz, bym przekonała ją, żeby zgodziła się na odcięcie ręki? — zapytała z niedowierzaniem.

— Nie jestem w stanie leczyć tej rany bez końca. W lasach całego królestwa nie ma tyle *chaewood*. — Cole westchnął, sfrustrowany, najwyraźniej nie pierwszy raz przytaczając te argumenty. — Uzdrawiająca moc fae także ma swoje granice. Niezagojone i niewyleczone rany mogą zabić.

Bri zmrużyła oczy i spojrzała na górujący nad nimi zamek. Potarła zdrętwiały kark i westchnęła. Delta była najbardziej upartym typem wojowniczką, nawet bardziej niż sama Bri.

Wjechali klusem przez otwarte bramy w murach miejskich i ruszyli w górę w kierunku pałacu. Stadko kóz rozpieczęło się między złote krzewy. Droga stawała się coraz węższa i w końcu przekształciła się w wiadukt, po którego obu stronach znajdowały się ostre stromizny. Znajdujący się na płaskowyżu zamek chroniono ze wszystkich stron. Napastnicy musieli się przekraść w przebraniu strażników lub służących — nie było mowy, żeby oddział wojska przemknął się tędy niezauważony, a klify otaczające pałac z pozostałych stron stanowiły przeszkodę nie do pokonania.

Rozejrzała się po pofalowanych wzgórzach, porośniętych kolczastymi drzewami i poszarpaną roślinnością, rozciągających się aż do widocznego na horyzoncie paska szafirowego błękitu. Plaże ze złocistym piaskiem i morze z białymi grzywami fal wydawały się wzywać zachęcająco. Zastanawiała się, ile czasu zabrałoby dojechanie tam. Rozpalone upałem powietrze drżało, zniekształcając obraz, przez co myśl o pływaniu kusila jeszcze bardziej.

Bri zauważyła w ogrodzie jakąś samotną postać wpatrującą się w horyzont.

— A księżniczka? Czy wszystko z nią w porządku?

— Myślę, że wszyscy jeszcze nie otrząsnęli się po zamachu na życie jej matki — powiedział dyplomatycznie Cole. — Przepisywałem członkom rady wiele lekarstw na ukojenie nerwów... aczkolwiek księżniczka odmówiła przyjęcia ich.

Bri rozumiała, co w ten sposób delikatnie stara się jej przekazać Cole. Księżniczka Abalina nie została ranna, ale daleko jej było do dobrego samopoczucia i najwyraźniej upierała się równie mocno, co jej kuzynka, jeśli chodzi o nieakceptowanie pomocy.

Zastanowiła się, czy Abalina nadal wygląda tak samo. Minęły już lata, odkąd księżniczka pojawiła się na jakiegokolwiek uroczystości na innym dworze. Tak, była obecna podczas gry w pokera organizowanej przez Neelo w Saxbridge, ale Bri i Tal czekali w saloniku piętro niżej i nie

widzieli jej. Bri poczuła, jak żołądek zaciska się jej na myśl o bracie. Już wcześniej zdarzały im się poważne kłótnie, lecz nigdy nic takiego jak tym razem. Talhan patrzył na nią, jakby to, że zdecydowała się pojechać do Swifthill, czyniło z niej zdrajczynię.

Otrząsnęła się z ponurych myśli i zwróciła znowu do Cole'a:

— Czy udało się złapać któregoś z napastników?

— Nie ujęliśmy nikogo żywego. — Cole poprawił okulary i przechylił głowę, tak by słońce nie świeciło mu w oczy. — Ale były ich dziesiątki. Niektórym udało się uciec.

— Na bogów — jęknęła Bri.

— Łowcy czarownic od zawsze stanowili problem, który królowej wygodnie było ignorować — zauważył kwaśno Cole. — Zarabiali nieźle pieniądze, a Zachód uniknął negatywnych skutków obłączenia Yexshire. Rozumiem, dlaczego królowa się na to zgodziła. Gdyby próbowała ich powstrzymać, uczyniłaby sobie wroga z Hennena Vostemura.

Bri skrzywiła się na dźwięk imienia obalonego króla Północy. Jego cień nawet po śmierci nadal wisiał nad Okrith. Jego tyrania odbiła się echem w każdym królestwie, a odejście odsłoniło gnijące od lat rany.

— I tak mogła mieć łowców czarownic pod kontrolą — skonstatowała Bri.

— Zgoda — westchnął Cole. — Pozwoliła umrzeć tak wielu... ludziom, fae, a przede wszystkim czarownicom. — Ściszył głos do szeptu i Bri zastanowiła się, co stało się z jego rodziną i dlaczego brzmiał tak głucho. — A teraz ci byli łowcy czarownic są niczym wściekle psy i to księżniczka Abalina będzie musiała ich okiełznać.

Gdy zbliżyli się do zamku, Bri zauważyła w oknach powiewające czarne zasłony niewpuszczające do środka słońca. Pałac był w żałobie. Królowa została zamordowana przez potwory, które sama stworzyła. Bri zacisnęła zęby i popędziła konia wąskim mostkiem prowadzącym do klifu. Było już za późno, żeby zawrócić.

ROZDZIAŁ 2



Bri szła za zgarbionym służącym. Jej kroki odbijały się echem wzdłuż kamiennych posadzek. Cole pożegnał się z nią pośpiesznie w stajni, rozkazawszy wcześniej pierwszemu służącemu, który mu się napatoczył, zaprowadzić ją do jej pokoju. Szli w dziwnej ciszy, zupełnie jakby kamienie zamku przechowywały w sobie przerażenie po ataku. Bri poruszyła ramionami i poprawiła szelki plecaka, starając się, żeby nie obcierały jej przez przepoconą tunikę. Służący nie zaproponował, że poniesie jej bagaż — zresztą i tak by się na to nie zgodziła.

— Nigdy nie sądziłem, że dożyję tego dnia — prychnął. Bri przewróciła oczami. Nawet służący jej dokuczali. — Catullus w Swifthill... Może jednak zginąłem podczas ataku i to już jest moje życie po życiu.

— Ilu było napastników? — zapytała Bri. Zaglądała do każdego mijanego pomieszczenia, starając się zapamiętać układ komnat i przejść. Nie widziała żadnych śladów walki, wybitych szyb lub wyważonych drzwi. Musiała usłyszeć jak najwięcej opowieści o tym, jak wyglądał sam atak. Każdy przedstawi jej nieco inną wersję wydarzeń. W panice i strachu ludzie wyolbrzymiali niektóre szczegóły, a Bri musiała ustalić, z czym tak naprawdę przyjdzie jej się zmierzyć.

— Niewielu, może z tuzin — burknął mężczyzna. — Zaatakowali dopiero po tym, jak Królowa została otruta. Próbowali zabić również księżniczkę Abalinę.

— Otruta? — powtórzyła Bri, unosząc brwi, zdziwiona tą nową informacją. — Co to za trucizna?

— Nadal nie wiadomo. — Służący wzruszył ramionami. — Brązowy uzdrowiciel nadal stara się rozpoznać, czego użyli. Troje innych fae siedzących przy stole zmarło, ale... — urwał i pochylił się w jej stronę, chcąc powtórzyć plotki, a Bri z trudem ukryła uśmiech, zadowolona z tego, że tak łatwo było go podejść. — Mają próbujących jedzenie, więc trucizna nie mogła być w samym posiłku.

— W takim razie jak to zrobili? — Bri zapisała sobie w pamięci, że będzie musiała porozmawiać z tymi, którzy kosztowali potraw. — W powietrzu?

— W pomieszczeniu byli też inni, którym nic się nie stało — powiedział. — Niektórzy mówią, że to była jakaś magiczna klątwa.

— Nigdy nie słyszałam o istnieniu takiej klątwy — wymamrotała Bri, podpuszczając go.

— Ja też nie — przyznał. — Ale żyjemy w dziwnych czasach. Budzi się czarna magia. Kto wie, jaką magiczną siłą mogli władać napastnicy?

Przyjrzała się słuzącemu — jego łysiejącej głowie i potarganej brodzie. Czy słyszał o bitwach z Balornem Vostemurem i Augustusem Norwoodem w Valtene? Czy do Swifthill dotarły wieści o tym, że dziwny rodzaj magii powrócił na Okrith? Skoro Norwood mógł zatruć powietrze fioletowym dymem, to kto wie, jakie trucizny był w stanie sporządzić. Rua sądziła, że miał coś wspólnego z zamordowaniem królowej.

— Czy pozostawiliście przy życiu kogokolwiek z napastników? — zapytała, mrużąc oczy i przyglądając się wewnątrz, jakby mogła z nich wydusić odpowiedź.

— Nie. — Służący zaśmiał się. — Spotkał ich koniec, na jaki zasłużyli.

— Ten brak zahamowań może w przyszłości kosztować kogoś życie. — Wściekłość czyniła z nich wszystkich głupców. Oślepieni chęcią zemsty byli gotowi działać na własną szkodę, byle dopiąć swego. — Skąd możemy wiedzieć, co jeszcze planują, jeśli nie został nikt, kogo można by przesłuchać?

Skierował się w górę kręconej klatki schodowej. Jego sandały z odsloniętymi palcami szurały po każdym stopniu.

— Rada królowej prowadzi śledztwo.

Bri prychnęła wzgardliwie.

— *Śledztwo.*

— Może po przybyciu Złotej Orlicy będą mieli więcej szczęścia — powiedział sarkastycznie.

— Bardzo szczerze wyrażasz swoje opinie — zauważyła Bri, wzburzona.

— Czy z Jej Wysokością też rozmawiałeś tak bezpośrednio?

— Nie jesteś moją królową. — Zaśmiał się, jakby próbując w ten sposób niepotrzebnie podkreślić wagę swoich słów. — Nie jesteś nawet moją rodaczką. Jesteś tu obca. Nie ma znaczenia, że jesteś fae, a ja człowiekiem. Ja jestem obywatelem Zachodu, a ty nie.

— Na bogów, rozumiem. — Zatoczyła koło ramionami, jak to miała w zwyczaju, gdy zaczynała odczuwać w nich napięcie. — Wszyscy tacy jesteście?

Uśmiechnął się, pokazując dołeczki w policzkach.

— Tak.

— Gdzie jest Delta? — To pytanie dręczyło ją, odkąd zsiadła z konia. Mimo że kapitan została ranna, Bri spodziewała się, że ją powita, tym bardziej że to ona błagała ją o przyjazd.

— W tej chwili jest zajęta.

Doszli do trzeciego piętra. Służący dyszał ciężko, jakby wspiał się na wysoką górę. Pokuśtykał w głąb korytarza, po czym wyciągnął ramię w stronę jednych z drzwi.

— Wasza komnata, pani.

Bri zmarszczyła brwi na tę nagłą grzeczność, jednak skinęła krótko głową i podała służącemu złotą monetę. Złapał ją w locie, już odwracając się, żeby odejść. Westchnęła w odpowiedzi na to lodowate przyjęcie. Musi schwytać winowajców napadu jak najszybciej i wyjechać z tego mało gościnnego i dziwnego miejsca.

Zamknęła za sobą drzwi i weszła do krótkiego korytarza. Kamienna posadzka przechodziła w terakotę. Kafle wydawały się idealne, żeby rozgrzewać się w zimowym słońcu i chłodzić przyjemnie stopy w upalne lata, jednak zasłony w oknach sprawiały, że słońce nie mogło nagrzać pokoju i panował w nim przenikliwy chłód.

Wpadające przez materiał światło rzucało ciężkie cienie na salonik. Meble pokryte były wzorzystą, czarno-beżowo-brązową tkaniną. Pomieszczenie urządzone w charakterystycznym, pełnym przepychu stylu Zachodniego Dworu, poczynając od zdobionych waz, a na meblach utrzymanych w kolorach ziemi kończąc. Mimo że Królowa wygnała rodzinę Bri z Zachodu, w jej rodzinnym domu znajdowały się przedmioty pochodzące stąd: malowane gliniane naczynia, wiklinowe meble i wzorzyste materiały w ziemistych barwach, przez co teraz otoczenie wydawało jej się zarazem obce i dziwnie znajome.

Z przyległego pomieszczenia, w którym jak zakładała, znajdowała się sypialnia, dobiegło jakieś szuranie. Bri zmrużyła oczy. Może to tylko zasłony powiewające na wietrze... a może zamachowiec? W końcu królowa dopiero co została zamordowana. Ostrożności nigdy za wiele.

Jej plecak ciężko uderzył o podłogę. Chwyciła wysadzany bursztynami sztylet, który nosiła u pasa. Cicho podeszła do drzwi i złapała za klamkę, przygotowując się na walkę z potencjalnym napastnikiem.

Szarpnęła drzwi i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia na widok tego, kto znajdował się w środku.

Carys siedziała na fotelu, bawiąc się sztyletem. Na jej twarz wypłynął lisi uśmiech, gdy dostrzegła zdumienie Bri.

— Cieszysz się, że mnie widzisz? — zapytała.

— Jak, na bogów, udało ci się tu dotrzeć przede mną? — wydukała Bri, czując zawrót głowy. — I co w ogóle tu robisz?

— Tak bardzo usiłowałam się trzymać z dala od Zachodniego Dworu, że nawet nie potrafisz się po nim poruszać. To zaledwie dzień drogi od Valtene, jeśli się wie, którędy jechać. — Carys puściła do niej oczko. — Widziałam twarz Talhana, gdy wrócił do karczny po twoim wyjeździe, i zmusiłam go, żeby mi wszystko powiedział. — Carys zsunęła nogi z fotela i oparła je na puszystym dywanie. Obracając nóż w dłoni, zapytała z przekąsem: — Myślałaś, że uda ci się wyjechać bez *mojej* wiedzy?

— Carys...

— Nie — przerwała Carys, chowając nóż do pochwy. — Pozwoliłam ci pojechać z Ruą na Północ, ale *tutaj*? To Swifthill, Bri. To miejsce, którego

unikalaś przez całe swoje życie, i nie zamierzam pozwolić, żebyś ruszała w trzewia tej bestii beze mnie.

Bri przeciągnęła dłonią po twarzy.

— A co ze Wschodnim Dworem? Czy nie powinnaś doglądać wyborów nowego suwerena?

— Na pewno rada już się tam zebrała. Z większością spraw są sobie w stanie poradzić, a Talhan też tam pojedzie, jak tylko wyzdrowieje. — Carys wzruszyła ramionami, jakby te sprawy były zupełnie proste.

Bri uniosła brew.

— Tal ma zamiar pomagać radzie?

— Wiem, to brzmi jak jego największy koszmar, co nie? — Carys się zaśmiała. — Ale obiecał, że będzie miał oko na sprawy, podczas gdy my będziemy na Zachodzie. Na razie i tak nie jest w stanie z nikim walczyć. A poza tym, ostatni raz widziano Augustusa Norwooda, jak kierował się w stronę zachodniego wybrzeża. Przebywanie tu ma strategiczne znaczenie również dla mnie. Będę wyglądać Norwooda, podczas gdy ty pomożesz Delcie zapanować nad łowcami czarownic.

Bri skrzywiła się i podeszła do łóżka. Przysiadła na jego brzegu i na chwilę z westchnieniem zwiesiła głowę.

— Teraz już nie są łowcami czarownic, lecz fae z królewskich rodów.

— Co takiego mógł im obiecać Augustus, że zdecydowali się zabić własną królową? — zastanowiła się Carys.

— To doskonale pytanie. — Bri potarła kark. — Muszę się spotkać z Deltą.

— Założę się, że nie możesz się doczekać.

— Daj spokój — warknęła Bri na widok uśmiechniętej kpiąco twarzy przyjaciółki. — To była miła rozrywka, nic więcej. Moim Przeznaczeniem jest zdobyć koronę, nie partnerkę.

Wbiła wzrok w swoje buty, obracając w myślach słowa, które słyszała raz po raz przez całe swoje życie: *urodzą się Orły, a Briata przejmie koronę od panującego monarchy*. To proroctwo, wiszące nad nią od zawsze, stało się mniej przerażające teraz, gdy tron Wschodniego Dworu był pusty. Myśl o tym, żeby odebrać koronę Wschodu nieznosnemu dziecku, jakim okazał się Augustus Norwood, napawała ją zachwytem. To miało sens.

Jej Przeznaczeniem jest rządzić Wschodnim Dworem, krajem, w którym dorastała. Uporządkuje sprawy w Swifthill, a potem wróci na wschód i udowodni prawdziwość proroctwa.

— Przyjechałam tu, żeby pomóc, a potem znowu stąd wyjadę — powiedziała Bri. — Delta nie ma z tym nic wspólnego.

— Yhm — mruknęła Carys, wstając.

— Nienawidzę cię.

— Ja też cię kocham. — Carys poczochnęła włosy Bri. — A teraz chodźmy poszukać czegoś do zjedzenia i jakichś odpowiedzi.

Bri wstała, niechętnie objęła przyjaciółkę ramionami i mocno przytuliła.

— Cieszę się, że tu jesteś.

Poczuła, jak Carys się uśmiecha.

— Wiem.



Bri i Carys wędrowały po olbrzymim zamku niczym po labiryncie pełnym kręconych schodów. Za każdym razem, gdy schodziły o poziom niżej, napotykały krótki korytarzyk, który rozdzielał się niczym gałęzie drzewa. Posadzki wykładane były na zmianę kamieniem i kaflami w jakimś misternym wzorze i Bri zastanawiała się, jakim cudem mieszkańcy się przez to nie potykają.

— To sprawia, że Wschodni Dwór wydaje się jakiś ubogi, prawda? — zapytała Carys, przyglądając się ustawionym w korytarzu stolikom, na których stały malowane gliniane wazy i grube pachnące świece, oraz wiszącym nad nimi tkanym gobelinom. — Trochę mi to przypomina twój dom.

— Moja matka stworzyła swoje własne Swifthill we Wschodnim Dworze — zgodziła się Bri, ze zmarszczonymi brwiami studiując obraz przedstawiający sawannę. Wschodnia prostota rzeźbionego drewna rzeczywiście mogła wyglądać ubogo w zestawieniu z przepychem tutejszych wnętrz. — Tak bardzo była przekonana, że to moje przeznaczenie, by nim rządzić.

Carys zamruczała na znak zgody.

— Jak sądzisz, co zrobi, gdy się dowie, że tu jesteś?

— Będzie świętować — warknęła Bri. — Jestem pewna, że już kupuje suknię na koronację.

Carys wysunęła się przed Orlicę, zmuszając ją, by się zatrzymała.

— Czy jesteś pewna, że chcesz tu być, Bri? — zapytała, unosząc brew. Carys była jedną z niewielu osób, które znały prawdę o jej matce. Wiedziała, jak Briata była traktowana jako dziecko i z jakich powodów zerwała kontakty z matką dawno temu. — Moglibyśmy wysłać tu kogoś innego... To nie musisz być ty.

— Powinnaś była słyszeć głos Deltę. — Orlica przekrzywiła szczękę na bok. — Nigdy nie słyszałam u niej takiej paniki. Nigdy.

— Niektórzy ludzie *cieszą się*, że tu jesteś, Bri. Słyszałam plotki w mieście, jeszcze zanim przyjechałaś — oznajmiła Carys, spoglądając na nią ostrożnie.

— To robota mojej matki — potwierdziła. — Przez całe moje życie próbowała zasiać na Zachodzie ziarna buntu. — Potarła twarz dłonią i westchnęła z frustracją. — Po prostu umocnijmy tu koronę i wyjeżdżajmy, dobrze?

Ruszyły w stronę komnat królowej, które nie były trudne do odnalezienia. Strażnicy patrolowali korytarze i wszystkie zakamarki aż do wielkich drewnianych drzwi. Żaden z nich nie próbował ich zatrzymać, więc najwyraźniej zostali poinformowani o ich przybyciu.

Bri zastukała do drzwi i cofnęła się o krok. Uchyliły się odrobinę i na zewnątrz wyjrzał fae o ciemnobrązowej skórze i siwych włosach. Z jego pomarszczonej twarzy patrzyły na nie pełne złości oczy.

— Wpuść je, ojciec — rozległ się głos ze środka.

Twarcz zniknęła za drzwiami, które po chwili otworzyły się na pełną szerokość. Za nimi rozpościerał się widok na niewielki, elegancki salonik, w którym znajdowało się kilka osób, w pełnym napięcia milczeniu obserwujących ich wejście. Pośrodku pokoju ustawiono pusty wiklinowy fotel. Wszyscy obecni stali.

— Nie sądziłem, że dożyję tego dnia — powiedział fae stojący pośrodku pomieszczenia. Miał jasnobrązową skórę, orzechowe oczy i ujmujący

sposób bycia tak typowy dla królewskich dworzan. — Briata Catullus, przybyłaś w końcu, żeby ukraść koronę?

— Ostatni raz powtarzam, że nie jestem w najmniejszym stopniu nią zainteresowana — wykrztusiła Bri, spoglądając na bojowe topory wymalowane na jego złotej tunice. — Kim jesteś?

— Przepraszam — odparł, kłaniając się. — Jestem Tem, Tem Wystron. — Wskazał na mężczyznę, który wpuścił ich do środka. — To mój ojciec, Darrow. Jesteśmy członkami królewskiej rady.

— Czy Lina jest teraz królową? — zapytała Carys, wychodząc przed Bri. Carys dorastała w Południowym Dworze wśród królewskich fae, stąd też lepiej знаła Abalinę i mogła się posługiwać tym poufałym zdrobnieniem. Prawdopodobnie znała księżniczkę przez całe swoje życie, chociaż rzadko wspominała o niej Bri.

— Jeszcze nie — powiedział Darrow, unosząc głowę. Miał głęboki, schrypnięty głos o ostrym i pogardliwym brzmieniu. — Jej matka jeszcze nie została pochowana, jej dusza jeszcze nie wstąpiła w zaświaty. Żadne ceremonie nie mogą mieć miejsca, nim nie zostaną zdjęte żałobne zasłony.

— Rozumiem — wyszeptała Carys i jej spojrzenie złagodniało. — Jednak mamy teraz czasy wielkiego zamętu i...

Darrow uniósł pomarszczoną dłoń.

— Musimy przeczekać okres żałoby, nim nastąpi koronacja. — Oparł znacząco dłoń na pustym wiklinowym krześle. — Musi minąć pełny tydzień, nim będziemy mogli oczyścić to miejsce.

Wysoka postać w cynamonowobrazowych szatach zwróciła uwagę Bri. Cole. Już zdążył się przebrać i przyjść do Sali rady. Wyglądał, jakby miał ochotę coś powiedzieć, i gryzł się w język.

Carys przyjrzała się milczącym, nieufnym twarzom wokół.

— Gdzie jest Lina?

— Księżniczka nie czuje się dobrze i postanowiła dzisiaj wcześniej się położyć — wyjaśnił Tem, zerkając na Cole'a, który skinął głową w odpowiedzi. — Jestem pewien, że jutro poczuje się lepiej.

— W takim razie porozmawiamy z nią jutro — powiedziała zdecydowanie Carys.

Bri poruszyła się niespokojnie. Wiedziała, co jej przyjaciółka ma na myśli — tutaj było zbyt wiele osób, żeby otwarcie rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

— Cokolwiek potrzebujecie powiedzieć, możecie to zrobić w obecności rady. — Tem wskazał na zgromadzonych. — Przekażemy wasze uwagi Jej Wysokości.

— W porządku, Tem — dodał Darrow głosem ociekającym jadem i spojrzał na Bri. — Nie zostaną tu długo. Nie potrzebujemy pomocy obcokrajowców.

To słowo zirytowało Bri. Potrafiła odczytać intencję — nie należała do Zachodniego Dworu. Być może jej matka tutaj ją urodziła, ale najwyraźniej to nie czyniło z niej ich rodaczki, mimo wysiłków jej rodzicielki, by tak się stało. Została wychowana tak, *jakby* była zachodnią księżniczką. Jej dominująca matka znacznie gorliwiej przygotowywała ją do królewskiego życia niż Talhana do walki mieczem. Ze swoimi krótkimi włosami, muskularną budową, tendencją do ubierania się w tuniki i skórzane stroje do walki zamiast eleganckich sukni i wstążek Bri była zupełnie inna, niż jej matka to sobie wymarzyła.

— W takim razie omówimy wasze sprawy jutro przy śniadaniu — zasugerował Tem pojednawczo, uspakajając obydwie strony z łatwością i wprawą. Zrobił krok w stronę ojca i oparł mu dłoń na ramieniu.

Darrow przymknął oczy i skinął głową.

— Możecie się przygotować do wyjazdu rano — powiedział, odprawiając je.

— Dobrze — wykrztusiła Bri. Odwróciła się i wyszła bez pożegnalnego ukłonu. Skoro nie zamierzali okazać jej nawet odrobiny szacunku, miała zamiar potraktować ich tak samo.

— Nadal uważasz, że to dobry pomysł? — wymamrotała Carys, podążając pospiesznie za nią wzdłuż korytarza.

— To nigdy nie był dobry pomysł — burknęła Bri. — Ale i tak to robimy.

— Dokąd idziemy? — zapytała Carys nie zwalniając, widząc, że Bri podąża w odwrotnym kierunku niż ten, z którego przyszły.

Bri zacisnęła dłonie u boków.

— Znaleźć Deltę.

ROZDZIAŁ 3



Carys zmarszczyła brwi, patrząc na powiewające w korytarzu czarne zasłony.

— Śniło mi się, że ktoś udusił mnie czymś takim.

— Przypomnij mi, żebym ci opowiedziała o Świątyni Hunasht w Północnym Dworze. Te ciała...

— Nie, dzięki, nie chcę wiedzieć — przerwała Carys. — Remy już mi przekazała to, co jej mówiłaś, i to wystarczyło, żebym miała koszmary sennie. Nie potrzebuję usłyszeć wersji Bri.

Służący pokazał im, gdzie znajdują się komnaty Delty. Nie były odległe od tych, w których mieszkała sama królowa. Dotarły pod drzwi na końcu mrocznego korytarza i Bri uniosła dłoń, by zapukać, jednak zanim jeszcze jej kostki dotknęły drewna, otworzyła je fae o myszowatym wyglądzie. Dziewczyna miała szarobrazowe włosy zakrywające jej szpiczaste uszy i patrzyła na nich szeroko otwartymi sarnimi oczami.

Na wargach Bri zagrał lekki uśmieszek. Dziewczyna była dokładnie w typie Delty — piękna i delikatna. Prawdopodobnie właśnie zmierzała do wyjścia po krótkiej schadzce w ciągu dnia. Orlica nie wykluczała, że Delta potrafiłaby uwodzić kochanki nawet na łożu śmierci.

— Och — powiedziała, zatrzymując się w progu. — Czy mogę wam jakoś pomóc?

Bri uśmiechnęła się do niej znacząco.

— Szukamy Delty.

— Jest w środku. — Uniosła brew. — Właśnie wychodziłam.

Orlica powstrzymała śmiech.

— Jesteście przyjaciółkami Delty? — zapytała fae, spoglądając raz na jedną, raz na drugą.

— Może — odparła wymijająco Bri. — A kim ty jesteś?

— Nazywam się Saika — powiedziała, odgarniając za ucho kosmyk włosów, w który miała wplecioną srebrną nić. — Jestem żoną Delty.

Żona.

Te słowa były dla Bri niczym kopniak w brzuch. Delta nigdy nie wspominała, że ma żonę. Czy to nowa sprawa? Jak bardzo nowa? Przecież były razem w noc przesilenia zimowego... Zagapiła się na Saikę, starając się zachować neutralny wyraz twarzy, a jednocześnie przeczesywała swoje wspomnienia. Delta miała żonę?

— Och, wspaniale — zaczęła Carys, szybciej dochodząc do siebie niż Bri. — Od jak dawna jesteście razem?

Bri w duchu podziękowała przyjaciółce, jako że jej samej to pytanie nie chciało przejść przez usta.

— Dziewięć lat — odparła Saika, uśmiechając się łagodnie.

Orlica zamaskowała zaskoczenie, udając, że kaszle.

— Dziewięć lat? I przez cały ten czas jesteście sobie wierne? — Carys zakrzuszyła się przy ostatnich słowach, gdy Bri szturchnęła ją łokciem w żebra. Nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka miała dość tupetu, by zadawać takie pytania.

— Oczywiście. — Saika ściągnęła brwi i zerknęła na nie z ciekawością. — Chociaż nie wydaje mi się, żeby to była wasza sprawa.

— Ona jest strasznie wścibska — wyjaśniła Bri, zmuszając się do śmiechu i odciągając Carys na bok, żeby Saika mogła przejść. — Tak czy siak, miło było cię poznać.

— Was też — odparła Saika, zaciskając wargi, i przecisnęła się obok nich na korytarz. Odwróciła się, żeby jeszcze raz otaksować je wzrokiem, a jej twarz złagodniała. — Delta nie ma zbyt wielu przyjaciółek, nie licząc Liny. Cieszę się, że przyszłyście ją odwiedzić.

Bri poczuła, że jej buta kruszeje, gdy patrzyła, jak drobna, śliczna fae znika w głębi korytarza.

— Na bogów — wyszeptała Carys, trącając Bri w bok, a tym samym odwzajemniając wcześniejszy cios, jaki otrzymała.

Orlica się skrzywiła.

— Nie musimy z nią teraz rozmawiać, Bri — powiedziała Carys, marszcząc brwi. — Może powinniśmy wrócić później.

Bri odepchnęła od siebie oszalałe myśli i wzięła głęboki oddech, tak jakby szykowała się do bitwy. Mogła sobie pozwolić na panikę później, nie teraz.

— Obiecuję, że jej nie zabiję.

— Tak, ale ja bym mogła — syknęła Carys, zaciskając pięści i ruszając zdecydowanym krokiem w głąb komnat.

— Car! — zawołała za nią Bri, ale ta się nie zatrzymała.

Komnaty były podobne do tych, które zaproponowano Bri, nie licząc tego, że te wyglądały jakby ktoś w nich rzeczywiście mieszkał. Na oparciach krzeseł wisiały stroje, a wysadzone kamieniami szlachetnymi drobiazgi wały się na stolikach. Bri zatrzymała się obok naszkicowanego węglem rysunku dwóch uśmiechniętych osób i poczuła, jakby ktoś przekręcił nóż wbity w jej trzewia, gdy zorientowała się, że patrzy na młodsze i szczęśliwsze twarze Delty i Saiki.

Dźwięk otwierających się drzwi sypialni odciągnął jej uwagę. Do saloniku weszła Delta, poprawiając na sobie tunikę. Jej gładka brązowa skóra i umięśniony tors zniknęły pod szarym materiałem.

Delta uśmiechnęła się do nich i otworzyła usta.

— Och, hej...

Carys znalazła się obok w mgnieniu oka i uderzyła Deltę w szczękę na tyle silnie, że ta zatoczyła się do tyłu na ścianę.

— Co jest z tobą nie tak?! — wrzasnęła, nim Bri zdążyła jej dopaść.

Bri chwyciła przyjaciółkę w pasie i odciągnęła od Delty.

— Ona już jest ranna!

— I dobrze! — rzuciła mściwie Carys, usiłując się wyrwać z uścisku.

— Już w porządku, Carys. — Bri zacieśniła chwyt i odczekała, aż ta przestanie się wyrwać.

— *Wcale nie jest* w porządku — warknęła Carys w kierunku Delty, ale została u boku Bri. — Jesteś kłamliwą, podłą, zdradziecką małpą i musiałaś na dodatek wciągnąć Bri w swoje kłamstwa!

— Domyślam się, że poznałyście moją żonę — zauważyła Delta, rozcierając sobie szczękę.

— Tak, twoją *żonę*, o której żadna z nas nie miała pojęcia! — wrzasnęła Carys.

Bri nieznacznie przesunęła się, gotowa znowu ją chwycić.

— Powinnam była ci powiedzieć. — Delta odepchnęła się od ściany i się skrzywiła. — Ale z każdym rokiem stawało się to trudniejsze i... Sama nie wiem... Gdy nie jestem w Swifthill, lubię stawiać się kimś innym...

— Kimś nieuczciwym? — syknęła Carys. — Kłamczuchą?

Delta zwróciła spojrzenie swoich brązowych oczu na Bri.

— Przepraszam. — Potrząsnęła głową, rozrzucając pukle swoich krótkich włosów. — To, co było między nami... Nie chciałam z tego rezygnować.

Bri ścisnęła rękojęść swojego sztyletu, ale nie wyjęła go z pochwy.

— Nieważne, Del, to i tak była tylko zabawa, nic więcej — warknęła. — Po co w ogóle mnie tu wezwwałaś?

— Zabili moją ciotkę. — W spojrzeniu Delty pojawił się strach. — Prawie zabili też Linę. Na bogów, byli naprawdę blisko. Wiem, że spróbują ponownie.

— Czy macie jakiegokolwiek poszlaki? — Bri skrzyżowała ramiona, obserwując, jak Delta kuśtyka do krzesła i ostrożnie siada na nim, pomagając sobie jedną ręką. Drugą miała schowaną pod tuniką, spod której widoczny był temblak. Sądząc z tego, jak się poruszała, nie została ranna jedynie w ramię. Delta była groźną wojowniczką. Jej rany musiały być naprawdę poważne, jeśli jej uzdrawiające moce fae nie wystarczyły, żeby ją naprawić.

Delta potrząsnęła głową.

— Otruli królową, a gdy uzdrowiciele ruszyli, by jej pomóc, pojawili się oni.

— Kto?

Wzięła głęboki, świszczący oddech.

— Łowcy czarownic... a przynajmniej tak się nam wydaje. Mieli na sobie rzeźbione drewniane maski przedstawiające... nie wiem, chyba lwa? — Delta potarła ramię, jakby próbowała rozluźnić napięty mięsień.

— Jeśli mieli na sobie maski, to zapewne byli ludźmi, których znasz — oznajmiła Bri. — Czy macie listę podejrzanych?

— Oczywiście. — Delta skinęła głową. — Każę sporządzić dla ciebie kopię.

— Lwy mają sens — wymamrotała Carys. — To zwierzę Wschodu. Augustus Norwood jest lwiątkiem próbującym odzyskać tron swojego ojca.

— Co wydarzyło się po tym, jak królowa została otruta? — Bri uważnie obserwowała każdy oddech Delty. Czyżby infekcja rozprzestrzeniła się również na płuca? Cole miał rację — potrzebowała leczenia jak najszybciej.

— Wyprowadziłam Linę z jadalni, ale droga była zablokowana. Schowałyśmy się w kredensie, ale nas odnaleźli.

— O, bogowie — westchnęła Carys i usiadła na krześle naprzeciwko Delty. Cała złość uleciała z niej na dźwięk opisu zgrozy, jakiej doświadczyła Delta.

— Walczyłam z nimi, jak potrafiłam, ale schwytali Linę. — Głos Delty zadrżał i odkaszlnęła. — Niemal ją zabili. To Darrow ocalił jej życie tego dnia, nie ja.

— Wydaje się niezłym dupkiem — zauważyła Bri. — Zachowuje się, jakby uważał, że nie powinnaś próbować wytropić zabójców królowej, dopóki żałoba po niej nie dobiegnie końca.

— Jest dupkiem, ale naprawdę kochał moją ciotkę. — Delta wskazała na stolik stojący przy drzwiach. — Druga szuflada.

Bri otworzyła ją i wyjęła z niej srebrny sztylet, którego rękojeść zdobiona była ametystami. Obok nich widniały symbole napisane w języku czarownic, mhenbickim, jednak nie potrafiła ich odczytać.

— Co to jest?

— Porzucił go jeden z napastników — wyjaśniła Delta. — Zaniośłam go do niebieskiej czarownicy, ale nie potrafiła zobaczyć, do kogo należał.

— Czyżby do czarownicy zatem? — Bri uniosła brwi. — Czy sądzisz, że to robota Augustusa Norwooda? — Przesunęła palcami po fioletowych kamieniach. — Jego magia uniemożliwiła niebieskim czarownicom z Północy Zobaczenie jego planów. Sądzimy, że może wskrzesił fioletową czarownicę, a przynajmniej fioletową magię.

— To by wyjaśniało, dlaczego nie możemy Zobaczyć właściciela sztyletu — przyznała Delta, krzywiąc się i poprawiając swoją pozycję na krześle.

— Norwood współpracuje z łowcami czarownic — powiedziała Bri. — Sam to wyznał w rozmowie z Ruą. Powiedział, że chce wprowadzić zamęt w Zachodnim i Południowym Dworze i wraz z Balornem przejąć władzę nad całym Okrith.

Carys uśmiechnęła się bez przekonania.

— Cóż, przynajmniej ta część planu, za którą odpowiadał Balorn, nie wypaliła.

Remy i Rua zabiły Balorna w bitwie pod Valtene zaledwie kilka dni wcześniej. O mało sami wszyscy przy tym nie zginęli. Władza nad Okrith wyslizgiwała się im z rąk. Gdy Hennen Vostemur został zgładzony, na chwilę pojawił się promyk nadziei po dekadzie ciemności, jednak świat nie chciał się magicznie zmienić w radosne miejsce, a pokój trzeba będzie przynieść na ostrzach mieczy, Bri była tego pewna. Augustus Norwood okazał się siłą, której powstania nikt się nie spodziewał. Briata знаła go przez całe jego życie i zawsze uważała go za nieliczącego się mazgaja, teraz jednak okazywał zadziwiającą przebiegłość. Niezależnie od tego, jaką magię miał po swojej stronie, wydawał się cały czas znajdować o krok przed nimi.

— A więc jaki masz plan?

— Musimy zdemaskować łowców, ochronić Linę i usunąć zagrożenie dla tronu — wyrzęła Delta. W jej oczach pojawił się z trudem powstrzymany gniew, gdy spojrzała na swoje okaleczone ciało. — Nie jestem w stanie zrobić tego sama, a nie znam lepszej wojowniczkii niż ty, Bri.

— Auć. — Carys chwyciła się za pierś w udawanym geście zranienia.

Orlica jeszcze raz spojrzała uważnie na swoją niegdyś przyjaciółkę i kochankę. Delta była bardzo dumna. Fakt, że wezwwała ją na pomoc,

tak szokował, iż Bri przybyła, nie zwlekając. Teraz rozumiała desperację Delty. Jej rany mogły nigdy się nie zagoić. Widziała, jak jej najlepsza przyjaciółka i przyszła królowa — ktoś, kogo zobowiązała się chronić — niemal zginęła na jej oczach.

— Abalina nie będzie szczęśliwa, jeśli tu zostanę — ostrzegła Bri. — Nie będzie chciała, żebym ją chroniła.

— Pozwoli ci zostać ze względu na mnie — zapewniła ją Delta. — Nie proszę, żeby trwało to długo. Pomóż mi tylko odnaleźć zabójców mojej ciotki, a potem możesz ruszyć w poszukiwaniu przygód, dokąd tylko zechcesz.

— To dość bezczelne stwierdzenie z twoich ust — syknęła Carys.

Delta przewróciła oczami i ponownie spojrzała na Bri.

— Proszę...

Blaganie w jej głosie sprawiło, że Bri zakołysała się na stopach. Nie taką Deltę знаła. Wojowniczką była teraz złamana na duchu i ciele. Jej strach niemal namacalnie wisiał w powietrzu.

— Pomożemy ci do czasu, aż wydobrzejesz, a potem wyjedziemy — zapewniła Bri z westchnieniem. — Dopilnuj, żeby twoi ludzie wiedzieli, iż nie zamierzam się tu zatrzymać na dłużej.

Delta zwiesiła głowę.

— Dziękuję.

Bri spojrzała na ozdobny sztylet i obróciła go w dłoniach. Poświęci tej sprawie kilka tygodni, a potem uda się konkurować o koronę Wschodniego Dworu.

Skinąwszy głową Carys, skierowała się ku drzwiom. Przyjaciółka podążyła za nią. Miały wysledzić oszalałego księcia władającego fioletową magią i zamaskowanych zamachowców. Parsknęła na myśl o absurdalności tego przedsięwzięcia. Poczowała ukłucie smutku na myśl o tym, z kim w pierwszej kolejności chciałaby o tym porozmawiać... z Talhanem. Jako dziecko uwielbiał tajemnice i zagadki. To byłaby idealna misja dla niego. Tak wiele przygód razem przeżyli: wymykali się na miasto, udawali siebie nawzajem, gdy jeszcze byli na tyle mali, że trudno było ich rozróżnić. Wymyślili własny język, będący mieszaniną słów i gestów, co doprowadzało ich matkę do szału, jednak nawet

krótka wymiana spojrzeń pozwalała im na przeprowadzenie całej rozmowy.

Otrząsnęła się z tych wspomnień. Miała przed sobą misję do wykonania.



Korytarz wypełniony był ciężkim zapachem ziół, który stał się niemal nieznośny, gdy dotarli do drzwi. Komnata uzdrowiciela znajdowała się w podziemiach, w pobliżu kuchennych piwnic. Wąskie okna umieszczone wysoko nad ich głowami wpuszczały promienie słoneczne oświetlające niskie sufity. Bri przyjrzała im się uważnie i doszła do wniosku, że są zbyt wąskie, żeby ktokolwiek mógł się przez nie prześlizgnąć.

— Cholerni brązowi czarodzieje — powiedziała, udając, że od smrodu zbiera się jej na wymioty.

— Zachowuj się — ofuknęła ją Carys. — Im szybciej ustalimy, co się dzieje, tym szybciej będziemy mogli stąd spadać.

Zapukała dwukrotnie do drzwi.

— Wejść! — zawołał głos ze środka.

Popchnęła je i zobaczyła Cole'a pochylonego nad dużym, drewnianym biurkiem. Spojrzał na nie przez sporych rozmiarów szkło powiększające, zamocowane na srebrnym uchwycie. Jego powiększone oczy skierowały się na Bri, po czym wstał.

— Ach, tak — oznajmił. — Witaj w moich skromnych progach, pani...

— Po prostu Bri — przerwała, po czym pokazała kciukiem na Carys. — A to jest Carys. Nie interesują nas dworskie tytuły. — Lady Catullus była jej matką, czyli kimś, z kim nie miała ochoty być kojarzona, szczególnie w tych stronach.

— Jasne — zgodził się Cole, kiwając głową. — Sądziłem, że to was zacieka.

Carys wślizgnęła się do środka i oparła o regał ze słoikami w najdalszym kącie pomieszczenia.

Komnata brązowego czarodzieja była niewielkim, zagraconym pomieszczeniem, wypełnionym regałami, koszami i nieprzeźroczystymi

słojami. Nad komodą z licznymi szufladami wisiały pęki schnących ziół. Biurko do pracy zajmowało większą część pokoju. Moździerze, tłuczki, słoje z olejkami i metalowe przyrządy pokrywały całą jego powierzchnię w chaotycznych stosach.

Bri przełknęła ślinę, mając wrażenie, że mieszanika silnych ziołowych zapachów osadza jej się na języku. Podeszła do stołu roboczego i zmrużyła oczy, patrząc na stos srebrnych sztuców zgromadzony na środku.

— Czy to sztuce, które były używane tego wieczoru, gdy królowa została zamordowana? — Carys uniosła brwi w zdumieniu. — Jak ktoś mógł zatruć metal?

Cole poprawił złote okulary na nosie.

— Widzicie ten widelec? — Wskazał na niego długimi szczypcami, które trzymał w dłoni. — Czy dostrzegacie, jak różni się od tego drugiego?

Bri przyjrzała się dwóm widelcom leżącym obok siebie. Wskazała na ten znajdujący się pod szkłem powiększającym.

— Ten wygląda, jakby potrzebował polerowania.

Widelec był matowy, tak jakby zasechl na nim jakiś mydlany płyn.

— To właśnie jeden ze sztuców użytych w noc śmierci królowej. — Cole wskazał na matowe srebro. — Według służby były świeżo polewane. A teraz patrzcie.

Za pomocą szczypiec chwycił zielony liść z rośliny w doniczce, która stała za nim. Ostrożnie potarł nim widelec, po czym uniósł listek do światła. Oczy Bri rozszerzyły się ze zdumienia, gdy liść na jej oczach zaczął się związać, schnąć, aż wreszcie rozpadł się w czarny pył.

— Na bogów, czy to właśnie przydarzyło się królowej? — zapytała Carys z przerażeniem.

— Wewnątrz, tak — potwierdził Cole i zaciśnął usta. — Zbadałem jedno z ciał. Ich żyły stały się czarne. — Z jego twarzy odpłynął wszelki kolor, gdy zerknął na nie, a potem z powrotem na swoje szczypce. — Ale nie było to tak szybkie.

— O, bogowie — szepnęła Carys. — Jak długo to trwało?

— Pół godziny.

— Cholera — warknęła Bri. Żołądek przewracał jej się na samą myśl o tej truciznie płonącej w żyłach ofiar przez tak długi czas, nim ich zabiła.

— Napastnicy zalali pałac. — Głos Cole’a zadrżał i czarodziej odchrząknął. — Nie byłem w stanie dotrzeć do królowej, chociaż i tak nie sądzę, żeby którekolwiek z moich antidotów zadziało. Wszystkie znane mi trucizny trzeba połknąć. Ta wydaje się wchłaniać przez skórę.

Wymienił szczypce na inne cęgi i ujął kawałek materiału. Potarł nim rączkę zmatowiałego noża.

— To bardzo dziwne, bo raczej nie przenosi się na materiały. — Cole potarł szmatką inny liść rośliny. Obserwowali go uważnie, jednak liść nie usechł. — Metal w jakiś sposób wiąże się z trucizną... i to działa tylko na żywe organizmy. — Uniósł materiał i obwąchał go. — Ma też dziwny zapach, jakby słodkawy. — Potrząsnął głową i odłożył przedmioty na stół. — Jednak co by to nie było, na pewno jest magiczne. Czy możecie to wyczuć?

Bri wyciągnęła dłoń i przytrzymała ją nad sztuccami, próbując wyczuć nić magii w powietrzu.

— Nie jestem w stanie powiedzieć, twoja komnata jest pełna magii.

— Dla mnie ta jest inna — wymamrotał Cole.

— Ja chyba nie potrafię rozróżniać jej rodzajów. Po prostu wyczuwam magię. — Carys rozejrzała się po pomieszczeniu. — Pewnie nikt na to nie zwrócił uwagi, bo wszystkim się zdawało, że to zielona magia w jedzeniu.

— Czy brązowi czarodzieje potrafią robić takie trucizny? — Bri wskazała głową na sztucce.

— Potrafimy sporządzać różnego rodzaju trucizny, chociaż nie jest to mile widziane — przyznał Cole, znowu poprawiając okulary, chociaż wcale mu się nie zsunęły. — Moja praprababcia słynęła ze swoich trucizn. — Wskazał na kolekcję portretów na komodzie za sobą. — Ale nie wydaje mi się, żeby to była brązowa magia.

— Niemożliwe. — Carys ściągnęła brwi. — Czy sądzisz, że to fioletowa magia?

Cole skrzyżował ramiona i westchnął.

— Owszem.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. — Zdjął okulary i potarł oczy. — Albo znaleźli sposób, żeby inne czarownice mogły się posługiwać fioletową magią, albo to zgromadzenie wcale nie wyginęło, wbrew temu, co wszyscy sądzą.

— I współpracują z Norwoodem — wykrztusiła Bri.

— Cóż, technicznie rzecz biorąc, nadal jest spadkobiercą tronu ich królestwa — stwierdziła Carys. — Być może czują się wobec niego lojalne?

— To nie ma sensu. Dlaczego teraz? — Bri, wiedząc, że nie pozna odpowiedzi, zatoczyła kółko barkami. Musiała potrenować, zanim przyjdzie jej ochota przebić pięścią ścianę. — No dobrze, musimy teraz porozmawiać z osobą, która była odpowiedzialna za polerowanie sreber.

— Chłopiec imieniem Francis — podsunął Cole. — Zmarł tamtej nocy.

— Sądzisz, że miał z tym coś wspólnego?

— W przeciwnym razie by ich nie rozłożył. — Cole wskazał na matowe srebra. — Goście mogli tego nie zauważyć lub ich to nie obchodziło, ale on musiał to widzieć.

— Powinniśmy porozmawiać z jego rodziną — powiedziała Bri do Carys, która skinęła głową. — Dziękuję, że nam to pokazałeś.

Niemal już wyszły, gdy Cole znowu się odezwał.

— Jestem przyzwyczajony do leczenia bólów głowy i skręconych kostek. Cieszę się, że ktoś inny zajmuje się tym.

— Zrobimy, co w naszej mocy — odparła Carys, żegnając go skinieniem głowy, po czym zamknęła za nimi drzwi. Przeszły kilka kroków, nim wyszeptała: — Czy sądzisz, że możemy mu ufać?

— W tej chwili nie sądzę, żebyśmy mogły ufać komukolwiek — wymamrotała Bri. — Ale wydaje mi się, że mówi prawdę. Tak czy siak, powinniśmy mieć na niego oko.

— Powinniśmy też porozmawiać z innymi za pośrednictwem ogni fae, żeby ich zawiadomić.

— Tak — zgodziła się Bri. — Mam przeczucie, że w najbliższym czasie rękawiczki staną się modne. — Wspomniała skurczony liść. Fioletowe czarownice wróciły, przynosząc ze sobą truciznę, która była nie tylko śmiertelna, lecz także trudna do wykrycia.

— Dlaczego to nie mógł być normalny zamach? — jęknęła Carys.

Bri prychnęła.

— A cóż to byłaby za zabawa?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 



CZY JESTEŚ DOŚĆ SILNA, BY POKONAĆ WŁASNE PRZEZNACZENIE?

Briata Catullus, sławna wojowniczka, nie przejmowała się pogroźkami fae Zachodniego Dworu. Dawali jej z całą mocą do zrozumienia, że nie jest mile widzianym gościem. Zнали proroctwo równie dobrze jak ona. Ale Bri przybyła do Zachodniego Dworu z inną misją. Miała wytropić mordercę królowej i ochronić życie jej córki, pięknej księżniczki Abaliny Thorne. Szybko się okazało, że to niełatwe zadanie. Łowcy czarownic byli głodni królewskiej krwi i nie zamierzali odstąpić od morderczych planów. A sama Lina, pogrążona w żałobie po stracie matki, nie miała najmniejszej ochoty na towarzystwo wojowniczki, a cóż dopiero mówić o jakimkolwiek dzieleniu się tajemnicami.

Zagrożenie jednak rosło z godziny na godzinę. W końcu Lina zgodziła się przyjąć ochronę Bri — i bardzo szybko obie odkryły, że razem są o wiele silniejsze i łatwiej mogą osiągać swoje cele. Lina zrozumiała, że Bri jak mało kto jest godna jej zaufania, a Bri odkryła, że piękna księżniczka staje się bliska jej sercu. Zbyt bliska, aby to mogło przynieść coś dobrego. Musiała udowodnić, że nie ulegnie proroctwu, sama wykuje swoje przeznaczenie i z honorem wypełni obowiązki.

W jej życiu nie ma miejsca na miłość.

